

Katarzyna Zyskowska-Ignaciak



*Ucieczka
znad rozlewiska*



Wydawnictwo
Nasza Księgarnia

Rozdział V

*Rzeczywistość gryzie,
chyba że masz sos sojowy*

Niespodziewanie zadzwonił do mnie Jędrzek. Spotkaliśmy się i czas się cofnął. On znowu był we mnie zakochany, ja nie potrafiłam opanować w jego obecności motyli w brzuchu (szczególnie w dolnej części). Było jak w bajce. Na trzeciej randce podjęliśmy decyzję o ślubie. Tym razem wszystko odbyło się bez zapowiedzi z ambony, błogosławieństwa kurii, masy gości i białych sukien. Wzięliśmy cichy, acz bardzo romantyczny ślub w... ambasadzie w Maladze. Zaraz po powrocie wprowadziłam się do pięknego domu Andrzeja na uroczym Starym Żoliborzu. Zaszłam w ciążę i urodziłam pięknego ciemnookiego chłopca. Jednak żebym mogła spełniać również ambicje zawodowe, mąż otworzył dla mnie niewielką restauracyjkę, w której serwowałam swoje popisowe niskokaloryczne dania. W krótkim czasie odniosłam sukces jako restauratorka, kobieta interesu, fantastyczna mama i kochająca żona. Szacowna matka Danuta posypała głowę popiołem i przyznała, że moja ucieczka z Kazimierza była świetnym posunięciem...

I tak zapewne mogłaby się skończyć moja historia. To znaczy właśnie tak by się skończyła w jakiejś kliwej książce albo tancerki komedii romantycznej. Niestety, jak głosi tytuł mojego ulubionego filmu z czasów dorastania, *reality bites* – rzeczywistość gryzie. Mnie zaczynała kąsać coraz mocniej.

Tamten spędzony z Weroniką weekend dał mi jednak energetycznego kopa. Postanowiłam: koniec użalania się nad sobą. W poniedziałkowy poranek w sklepie na dole oprócz jajek i pełnoziarnistych bułek kupiłam „Wyborczą” z dodatkiem o pracy.

Tylko co powinnam robić? Powiadomiłam już Martynę, że nie wrócę do biura podróży, więc może tak jak w moich marzeniach mogłabym otworzyć niszową knajpkę dla ekowariatów? Byłoby cudownie. Ja pichcąca ultrazdrowe dania. Przy stolikach zaprzyjaźniona klientela, kwiaty w wazonach, miliony w kasie... Był tylko jeden malutki – naprawdę malusieńki – szkopuł. Nic miałam wyimaginowanego sponsora ani bogatego męża, a mój budżet i konto bankowe powoli doświadczały syndromu szwajcarskiego sera. A dziura w owym budżecie, niewzruszona na moją niedolę, nijak nie chciała się w czarodziejski sposób załatać.

Pozostawało mi podjęcie pracy u jakiegoś kapitalistyczno-wyzyskiwacza, na zupełnie zwyczajnym etacie. Jednak tutaj także miałam pewien dylemat. Doświadczenie zawodowe posiadałam raczej łąco. No dobrze, znałam angielski i bez problemu radziłam sobie z klientami – może dlatego, że po zajęciach z pedagogiki na studiach miałam do nich cierpliwość jak do dzieci? Tylko czy naprawdę chciałabym znowu pracować w biurze podróży? Albo – niech mnie ręka boska broni – w szkole? Może więc praca w handlu? Teraz, w wakacje, wiele restauracji i kawiarni potrzebowało dodatkowego personelu. Już sobie wyobraziłam, jak w eleganckim uniformie, z gracją łani krążyć pośród stolików. Później tylko należy szybko awan-

sować ze zmywaka na szcfa kuchni – no co, przecież nawet w jakimś serialu widziałam, że tak można – a od szcfa kuchni to już krótka droga do właściciela knajpki ze zdrową żywnością. Postanowiłam wyjść naprzeciw marzeniom i wykręciłam numer z ogłoszenia...

– Słucham?

– Dzień dobry. Ja z ogłoszenia – zaczęłam.

– Kelnerka, kucharz, specjalista od zarządzania powierzchniami płaskimi? – rzucił opryskliwie nieco zachrypnięty męski głos.

– Powierzchniami...?

– O sprzątaniu mówię.

– Nic, nic. Myślałam o zostaniu kelnerką...

– Doświadczenie?

– Hmm... To znaczy, dotąd pracowałam w turystyce.

– E, no to tylko na zmywak albo do sprzątania możemy przyjąć, bo teraz są wakacje, ogromny ruch w interesie i nie mamy czasu na doszkalanie. – Facet wydawał się zniecierpliwiony, a może rozkojarzony. W tle usłyszałam jakieś krzyki, po czym coś huknęło i złowieszczo zadzwoniło, jakby właśnie diabli wzięli zastawę na dwanaście osób.

– No w mordę, Lucyna! Ogarnij się, dziewczyno. Chole-
ra jasna, potrączę ci z dniówki! – Facet wydzierał się na jakąś fajtlapę w restauracyjnej kuchni, zapominając chyba, że przy uchu trzyma słuchawkę – odsunęłam ją przezornie, bo słuchanie wyzwisk rzucanych w stronę biednej Lucyny groziło utratą słuchu albo przynajmniej wiary w ludzi. Miła atmosfera pracy, nie ma co.

– To jak? – Nagle, jak gdyby nigdy nic, facet wrócił do rozmowy ze mną. – Na to stanowisko sprzątaczkę pani reflektuje? Roboty tu mamy od metra.

– Sprzątaczkę?

– No tak. Zgadza się pani?

– Ale ja mam wyższe wykształcenie i... – zaczęłam, chociaż coś czułam, że moje stopnie naukowe niewiele obejdą tego „miłego” człowieka.

– A da pani spokój. Kogo tu interesują pani studia. Właśnie mi tu jedna taka z dyplomem stłukła przed chwilą ze dwadzieścia talerzy. I czy to posprząta magister, doktor czy inny wykształciuch, to mi jest wszystko jedno. Więc jak? Chce pani tę robotę?

Chyba za długo myślałam nad odpowiedzią, bo zniechęcony mężczyzna syknął tylko coś w stylu: „We łbach im się poprzewracało!”, po czym rzucił słuchawką.

A ja przestałam wierzyć, że tak łatwo przeskoczę od zmywaka do szefa kuchni, by na koniec stać się właścicielką restauracji. Telewizja kłamać!

Przez kolejne dni wykonałam jeszcze wiele podobnych telefonów. Miałam sortować warzywa, smażyć kurczaka w pięciu smakach w chińskiej budce, myć kielbasy w supermarkecie, roznosić ulotki i zostać „animatorką kultury” – to znaczy tańczyć na rurze. Jednak im więcej rozmawiałam, tym mocniej sobie uświadamiałam, jak niewiele potrafię i jak mało sprecyzowane są moje pragnienia.

Na smutki oczywiście najlepsze jest jedzenie, więc między czytaniem ogłoszeń w gazetach i internecie a wykonywaniem jałowych rozmów wpadłam w wir kulinarnych eksperymen-

tów. Kuchnia Weroniki, choć świetnie wyposażona i umeblowana, zazwyczaj nie była używana – moja przyjaciółka potrafiła upichcić jedynie chińską zupkę z torebki albo pyzy z mrożonki. A teraz całe to królestwo oddała w moje posiadanie. Dlatego za każdym razem, gdy wpadała do domu, raczyłam ją coraz ciekawszymi potrawami, ciastami i sałatkami – niech przynajmniej do tego się przydam. A ona zajadała się ze smakiem, wypytywała mnie o postępy rozmów o pracę i zaśmiała się, kiedy jej o nich opowiadałam. I w sumie mogłybyśmy sobie jeszcze pożyć w tej symbiozie, gdyby nie moje położenie finansowe, które z każdym dniem coraz bardziej przypominało sytuację Grecji.



– A więc kino, kawiarnia czy spacer? A może wszystko razem?

– Jędrək? – zapytałam nieprzytomnie, mocniej przyciskając słuchawkę do ucha, choć oczywiście jego głosu nie pomyliłabym z żadnym innym. Tym razem to nie była moja wyobraźnia.

– Oczywiście, że Jędrək. – Roześmiał się. – Miałś do mnie zadzwonić, niegrzeczna dziewczynko.

Zrobiło mi się dziwnie gorąco, więc wydukałam tylko:

– No tak, ale...

– Ale wróciłaś na łono rodziny, wyszłaś za mąż i urodziłaś wesołą gromadkę dzieci.

Uśmiechnęłam się, przypominając sobie wyimaginowany ślub w Maladze. Na głos powiedziałam:

– Nic, nie wróciłam. No i ciąża trwa chyba dłużej niż trzy tygodnie.

– Więc nadal jesteś w Warszawie?

– Tak, ale...

– Nie ma żadnego ale. Proponuję kino, a później możemy skoczyć coś zjeść. Co ty na to?

– Jędrus... Ja nie wiem, czy już jestem gotowa na jakieś randki. – Boże, co ja wygaduję? Przystojny facet, i to facet, przez którego nie mogłam spać przez parę lat, zaprasza mnie na wieczór, a ja się kryguję jak jakaś Dziewica Orleańska.

– A kto tu mówi o randce? Nawet cię w tej ciemnej kinowej sali za rękę nie złapię, obiecuję. Chyba że pójdziemy na horror, a ty poczujesz nicodpartą potrzebę, by wesprzeć się na męskim ramieniu. To pozostaję do dyspozycji. Ale w żadnym innym wypadku.

– Nie lubię horrorów.

– To pójdziemy na komedię romantyczną, a jeśli zechcesz, to nawet się zmuszę do kina moralnego niepokoju. Z tobą zgodzę się na wszystko. A później gdzieś sobie spokojnie usiądziemy, porozmawiamy. Nie bardzo była okazja ostatnio. Prawda? Więc jak, panno Franciszko?

– I bez podtekstów?

– Ma się rozumieć.



Stałam właśnie wyszykowana w drzwiach, gdy do domu wróciła Weronika.

– Na randkę?! Kiedy? – zapytała, nim zdążyłam do końca zrelacjonować poranną rozmowę.

– Andrzej zaraz tu będzie. I to wcale nie jest randka.

– Oj tam, oj tam. – Wera roześmiała się na moje święte oburzenie. – Oczywiście, że nie randka, tylko romantyczne spotkanie po latach.

– Tylko: „spotkanie po latach”. Żadne tam romantyczne. Ja nadal nie jestem w nastroju i uprzedziłam o tym Andrzejowi. Poza tym Kuba... – No właśnie, co Kuba? Chyba rzuciłam go niecały miesiąc temu?

Weronika chyba pomyślała o tym samym, bo spojrzała na mnie z iskierkami w oczach.

– Gdybyś wolała się spotkać dzisiaj z Kubą, tobyś mu nie związała, czyż nie?

– Ale to nie randka.

– No pewnie. – Odruchowo poprawiła mi włosy i wypchnęła za drzwi. – Baw się dobrze i nie wracaj zbyt wcześnie.

„Dlaczego on jest tak cholernie przystojny” – pomyślałam, widząc jego postać w samochodzie przed budynkiem. Wbrew rozumowi – bo to przecież nie randka – czułam, jak zaczynają mi się trząść ręce.

Andrzej na mój widok wysiadł z auta.

– Cześć! Miałem ci kupić jakieś chabazie, ale uznałem, że mogę nimi dostać po głowie.

– I słusznie. Nasz dzisiejszy wieczór to tylko niezobowiązujące spotkanie dwójki znajomych...

Wbrew moim obawom Andrzej nie zabrał mnie na mrozący krew w żyłach horror, kliwne romansidło ani film erotyczny,

lecz na typową hollywoodzką produkcję z rodzaju „zabili go i uciekli”. Choć fabuła była śmiertelnie poważna, a efekty specjalne wręcz porażające, my co chwila, gdy akcja zaczynała trącić banałem, wybuchaliśmy śmiechem. Co chyba nie bardzo podobało się innym zebranych w sali kinomanom.

Podczas seansu zjadłam worek dmuchanej kukurydzy o syntetycznym zapachu masła – tak, wiem, że to niezdrowe – i wypięłam litr rozdympującej coli. I chociaż zupełnie nie byłam już głodna, Andrzej namówił mnie, abyśmy wstąpili gdzieś na kolację.

Samochód porzuciliśmy przed kinem i przeszliśmy kawałek, nadal śmiejąc się z intelektualnej głębi filmowego dzieła. Jędrrek wybrał niewielką knajpkę nicopodal i weszliśmy do środka. W przytłumionym świetle majaczyło kilka stolików, a z kuchni dochodziły bajeczne zapachy włoskiej kuchni – które pewnie wywołałyby u mnie napad wilczego apetytu, gdyby nie nasz wcześniejszy kontakt z kuchnią amerykańską. Zajęliśmy miejsce w kącie, młoda kelnerka podała nam karty i nagle poczułam się nieswojo. W kinie wśród setki innych osób nie odczuwałam zażenowania, a teraz... Byliśmy tu tylko on i ja. I nastrojowa muzyka, światło świec oraz wyborby, ciepły zapach focaccii z rozmarynem. Było tu stanowczo zbyt romantycznie jak na niezobowiązujący wieczór. Ale może przesadzałam. W końcu gdzie mieliśmy iść? Do fast foodu?

Widocznie Andrzej zauważył moją niewyraźną minę, bo powiedział, zerkając na mnie znad menu i mrużąc z rozbawienia oczy:

– Jeśli uważasz, że jest tu zbyt nastrojowo, to poproszę, żeby ściszone muzykę i włączono górne światło.

– Nie żartuj ze mnie.

– Nie śmiałybym. – Po czym dodał zupełnie już poważnie: – Bardzo się cieszę, że zgodziłaś się ze mną spotkać. Przez te wszystkie lata wiele razy o tobie myślałem.

– Ale nigdy nie dałeś znaku życia.

– Wiesz – wydało mi się, że Andrzej nagle posmutniał – rok po maturze rodzice wzięli rozwód. Matka mieszka teraz tutaj, w Warszawie, z nowym mężem. Ojciec więcej czasu spędzał dotąd na morzu niż w domu. Między rejsami tylko na chwilę wpadał do Kazimierza. Teraz przeszedł na emeryturę, więc pewnie częściej będę miał okazję bywać w rodzinnych stronach. Ale tam już nie mam nikogo prócz ojca. Większość znajomych ze szkoły porozjeżdżała się na studia, zapuściła korzenie w nowym miejscu i w Kazimierzu prawie nikt nie został.

– Oprócz mnie – powiedziałam cicho.

– Tak. Oprócz ciebie. Ale ty też teraz jesteś tutaj.

– Tylko nie wiem, czy na długo.

Zamilkliśmy oboje. Kelnerka przyjęła zamówienie. Najchętniej nic bym już nie jadła, ale Andrzej namówił mnie na sałatkę. Sam zamówił deser i butelkę wytrawnego białego wina. Dziewczyna szybko przyniosła kieliszki. Andrzej wznosił toast.

– Obyś została tu jak najdłużej. – Upił łyk z kieliszka, ja zrobiłam to samo.

– Nie wiem, czy zdołam, nie wiem, co powinnam dalej robić.

– To Warszawa, każdy tu znajdzie swoje miejsce.

– A jeśli moje miejsce jest w Kazimierzu? Jeśli powinnam była zostać z Kubą?

– A kochasz go?

Milczałam.

– Głupie pytanie. – Andrzej znowu się rozpogodził. – Przecież gdybyś naprawdę go kochała, tobyś go nie zostawiła.

– Nic, to nie tak. Hmm... Jakby to ująć? To nie przed Kubą uciekłam. Raczej przed życiem, jakie miałam wieść u jego boku. Ty tego nie zrozumiesz. Wyrwałam się z małego miasteczka niemal jako dzieciak i wystarczająco wcześnie, by zaaklimatyzować się w nowym miejscu. Poznać inny świat i zdecydować, co jest dla ciebie dobre, czego pragniesz. A ja zostałam. Przeżyłam w Kazimierzu całe życie. I po prostu przestraszyłam się, że już nic mnie nie spotka. Miłość czy brak miłości do Kuby nie miały z tym nic wspólnego. No i cały udział mojej matki w tym wszystkim...

– Szanownej pani dyrektor?

– Pamiętasz ją?

– Jakże śmiałym zapomnieć. Była postrachem wszystkich uczniów, no a mnie darzyła wyjątkowym zainteresowaniem. Można powiedzieć, że byłam u pani dyrektor na cenzurowanym. Z wiadomych powodów. – Puścił do mnie oko. – Ale zdaje się, że prywatnie też nie była z niej łatwa osoba, co?

– Nie była. I nadal taka pozostała. A teraz postanowiła wydać mnie za mąż, więc ja, potulna córka, oczywiście zgodziłam się jej pragnienie spełnić.

– No, jednak nie do końca.

– Rzeczywiście.

Na stół wjechała sałatka i jego tiramisu, więc szczęśliwie skończyliśmy temat mojego domowego pickielka. Między jed-

nym a drugim kieliszkiem wina coraz głośniej się śmialiśmy. Przypominaliśmy sobie wspólne węgry, romantyczne spacery. Studniówkę, na której ukrywając się przed moją matką, popijaliśmy nalewkę jej roboty w łazience dziewczyn... Łączyło nas tak wiele przyjemnych wspomnień.

I nagle całe napięcie związane z naszym spotkaniem ze mnie opadło. Andrzej nie próbował mnie czarować, uwodzić. Zachowywał się bardzo poprawnie. Oboje trochę wypiliśmy, więc zostawił samochód na parkingu w centrum i do domu odwiózł mnie taksówką. Ale nawet na pożegnanie nie próbował mnie objąć ani pocałować. A ja byłam mu za to wdzięczna. Obiecał tylko, że teraz, kiedy znowu jesteśmy w jednym mieście, będziemy widywać się częściej. Bardzo tego chciałam.



– Mam, mam, mam!

Od progu dobiegł mnie triumfalny krzyk.

Weronika wpadła do przedpokoju, rzuciła torebkę i sekundę później klapnęła z wielce tajemniczym wyrazem twarzy na krześle przy stole. Spojrzałam na nią z uśmiechem.

– Co takiego masz? Wygrany los w totka, nowego adoratora?

– Mam wspaniałą, genialną, doskonałą pomysły, co powinniśmy zrobić!

Postawiłam na stole dwa parujące talerze pełnoziarnistego makaronu z sosem z bakłażana. Rzuciła okiem na danie, później na mnie. I znowu na talerz.

– Co potrafisz zrobić najlepiej? – zaczęła zagadkowo.

– No cóż. – Starłam na jej talerz odrobinę parmezanu. – Na pewno nie potrafię tańczyć na rurze. Mam za słabe mięśnie nóg.

– Nie wygłupiaj się. Serio pytam.

– W takim razie, całkiem serio... to sama nie wiem. Ale obawiam się, że raczej w niczym nie jestem dobra.

– Panna wieczna malkontentka. Co ty, w swoją matkę się bawisz? Pomyśl, dziewczyno. No, co dobrze robisz? – Zanurzyła widelec w makaronie i z błogim uśmiechem włożyła sporą porcję do ust.

– Naprawdę nie wiem. Całkiem sprawnie sprzedaję wycieczki?

– O rany. Ja nie pytam, co ty zawodowo potrafisz robić, więc mi tu nie przedstawiaj jakiegoś nudnego życiorysu. Pytam, co cię pasjonuje, w czym czujesz się dobra?

Próbując zebrać myśli, szybko zmieniłam temat:

– Smakuj ci?

– Fantastyczne, co to? – Talerz Werki szybko pustoszał.

– Bakłażan.

– Bakłażan?!

– A co, nie lubisz?

– Myślałam, że nie lubię, ale ten sos... Palce lizać. W ogóle nie smakuje jak bakłażan. – Znowu popatrzyła na mnie znad jedzenia. – No więc co najbardziej lubisz robić?

– Gotować...? – zapytałam niepewnie.

– Bravo! – Weronika wypuściła powietrze. – Zajefajnie, wyśmienicie, z polotem i fantazją. Gotujesz, dziewczyno, bajecznie! Do tego robisz to w taki sposób, że wszystko jest zjadliwe, a ja przy tym chudnę w oczach. Od momentu gdy ze mną zamieszkałaś, zrzuciłam już ze dwa kilogramy.

– Cieszę się, że ci smakuje, ale co to ma wspólnego z moją pracą? Nie mam funduszy, by otworzyć własną restaurację. Mam gdzieś zostać kucharką?

– Tak, najlepiej w szkolnej stołówce – powiedziała z szelmowskim uśmiechem.

– Żartujesz?

– Oczywiście, że żartuję. – Zrobiła pełną napięcia pauzę. – Zostaniesz gwiazdą telewizyjną!

Spojrzałam na nią zaskoczona. Moja przyjaciółka radośnie szczyrzyła zęby.

– Upadłaś na głowę – stwierdziłam spokojnie.

– W żadnym wypadku. Jesteś idealną kandydatką.

– Jaką znowu kandydatką? Na co?

– No przecież ci mówię: na kulinarną gwiazdę telewizyjną.

– Że niby taką jak Nigella Lawson?

– Dokładnie taką! Tyle że szczuplejszą i taką, która po nocy nie wyżera puddingu z lodówki.

– Nadal chyba nie rozumiem?

– No to słuchaj. W Stacji odbędzie się casting na prowadzącą. Szukają kogoś nietuzinkowego, o ciekawej osobowości. Takiego jeszcze niezmanierowanego parciem na szkło naturalszczyka. Kogoś, kto nie tylko potrafiłby gotować, ale też traktuje gotowanie jak coś naturalnego. Bez zadęcia. To nie ma być zawodowiec, któremu zawsze wszystko wychodzi. Ludzie chcą kogoś normalnego. Kto potrafi ugotować coś z resztek w lodówce – no tu jesteś mistrzynią. No i nie chcą jakiejś wymyślonej kuchni. Chcą kuchni dla ludu. I z przesłaniem.

– Z przesłaniem?

– No właśnie. Z przesłaniem, z misją. Programów kulinarnych jest od metra. A ten ma wnieść coś jeszcze. Jakąś nową jakość w życie telewidza.

– Chyba nie nadążam?

– Franka, twoje gotowanie właśnie takie jest. Pichcisz proste potrawy, a przy tym to wszystko jest smaczne i zdrowe. Od kilkunastu lat nosisz ten sam rozmiar. A nie zauważyłam, żebyś się katowała jakąś dietą.

– Po prostu gotuję z głową. To cała tajemnica.

– Otóż to! Pieczesz ciasto bez mąki, a jednak jest bardzo dobre. Spójrz na ulicę... albo chociaż na mnie. Połowa narodu cierpi na otyłość, bo sądzi, że zdrowe gotowanie jest trudne. Że od razu trzeba się głodzić, czyścić jelita, wsuwać jakieś dziwne tabletki albo zatrudnić prywatnego trenera fitnessu.

– Ale ja nie mam naukowej wiedzy na temat dietetyki. Żaden ze mnie ekspert.

– Ale z jakiegoś powodu trzymasz linię. I właśnie tego mogłabyś uczyć w takim programie.

Roześmiałam się głośno – chyba z powodu stresu. Prędzej już się widziałam w roli sprzedawczyni w mięsnyim albo tancerki go-go. Program w telewizji? Miałabym stanąć przed kamerą i udawać, że potrafię odchudzić polskich grubasów? Mojej przyjaciółce wyraźnie odbiło.

– Nie śmieję się, Franka. Pojutrze masz casting – rzuciła w odpowiedzi na mój nerwowy chichot.

– Co? – Prawie się dusiłam.

– I bez gadania. Pójdiesz tam i już! A ja cię tak odpicuję, że tam z krzesel pospadają na twój widok.

Trochę się uspokoiłam. Weronika chyba nie żartowała. O Boże! Ona naprawdę nie żartowała.

– Nigdy w życiu – powiedziałam stanowczo. – Wybij to sobie z tej swojej telewizyjnej głowy.

– A właśnie, że pójdziesz. I bez gadania.

– Po moim trupie!



Siedząc pod drzwiami studia, wśród kilku innych pretendentów do miana mistrza patelni, rzeczywiście byłam błada jak trup. Jak to się stało, że się tu znalazłam? W nowych ciuchach, z łomoczącym sercem, ze spoconymi dłońmi i z niemal niewidocznym makijażem – który Weronika fachowo określała: *nude*. I robiła go chyba z godzinę. Co wydawało mi się wyjątkowo kuriozalne właśnie dlatego, że nic a nic nie było go widać. Później z satysfakcją przyjrzała się swojemu dziełu i zadowolona stwierdziła, że wyglądam jak idealna dziewczyna z sąsiedztwa. I poradziła, żebym się nie stresowała, była taka jak na co dzień. A w ogóle najlepiej zrobię, jeśli sobie wyobrazę, że żadnych kamer tam nie ma. Chyba nie miałam aż tak bujnej wyobraźni...

Żebym przypadkiem się nie zgubiła w drodze na casting – a rzeczywiście przeszedł mi przez myśl taki chytry pomysł – osobiście podwiozła mnie pod siedzibę Stacji.

Oprócz mnie przed studiem czekał tęgi mężczyzna koło pięćdziesiątki z finczyjnie wywiniętym szalem na szyi i burzą sterczących na boki włosów. Na odległym fotelu zasiadła kobiec-

ta w średnim wieku. Miała na sobie wykrochmalony na sztywno czepek kucharski, śnieżnobiały fartuch z wyhaftowanymi na kieszonce zielonymi pomidorami i posępną minę, którą zdawała się mówić: „Co wy tu jeszcze robicie, kulinarne leszczę?”. A obok mnie przycupnął chłopak z nieco narkotycznym spojrzeniem i w lannerskich ciuchach. Z całej naszej czwórki wyglądał na najbardziej wyluzowanego.

– Ty też z polecenia? – zapytał lekko znudzonym tonem.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

– Z polecenia?

– No pewnie, kobieto. Wszyscy tu są po znajomości. Ja mam matkę w produkcji. Ten koleś – ściszył głos – sypia podobno z pewnym reżyserem. A tamta, co wygląda jakby kij połknęła, to szefowa Zielonych Pomidorów.

– Zielonych pomidorów? Szefowa na plantacji niedojrzałych pomidorów?

– Dżizas, kobieto, skąd ty jesteś? Nie słyszałaś o tej restauracji? Kurna, kto tam się stołuje, połowa gwiazd Stacji, chłopaki z „miasta”, a czasami nawet Ryży.

– Ryży?

– *Good* – przeciągnął z angielska. – Premier, kobieto. No, ja ci dzisiaj sukcesu nie wróżę. Normalnie z innej czasoprzestrzeni chyba przybyłaś.

Spojrzałam na niego zmieszana.

– No więc, kto dał ci cynk o castingu?

– Myślałam, że jest otwarty. Dla wszystkich.

– Taaa, pewnie – rzucił i spojrzał na mnie z wyrozumiałym uśmiechem. Jak na kogoś z niedowładem umysłowym. – Ale ty naiwna jesteś, kobieto.

Zamilkł, a ja w myślach rozszarpywałam właśnie Weronikę. A więc byłam tu tylko przez koneksję?

– Moja przyjaciółka „dała mi cynk” – wydukałam niepewnie.

– No widzisz, kobieto. Nikt tu nie znalazł się z łapanki. Z łapanki to już był jeden nabór. Wszystko nagrywane i puszczone w odcinkach, w paśmie śniadaniowym. Nie widziałaś? – Pokręciłam spokojnie głową, choć miałam straszną ochotę udusić tego niecznośnego smarkacza. – No, ale same lamusy jakieś przyszły. Nakręcili dwa odcinki i program spadł z ramówki, bo nikt tego nie chciał oglądać. Reklamodawcy się wypięli. Dlatego teraz Stacja postawiła na osobowości – powiedział z dumą. Choć użył liczby mnogiej, niewątpliwie za „osobowość” uważał jedynie siebie.

Pewnie dowiedziałabym się jeszcze czegoś ciekawego, ale w tej samej chwili zza zamkniętych drzwi studia wychyliła się głowa ufarbowana na ogniście rudy kolor niewystępujący w przyrodzie.

– Wszyscy już są?

„Wszyscy” milczeliśmy. Ruda westchnęła więc ciężko, wykrzywiła w niesmaku karminowe usta i zniknęła na powrót, by po chwili znowu ukazać się w korytarzu. Tym razem z naręczem papierów. Rozdała każdemu po pliku zszytych kartek.

– Proszę wypełnić kwestionariusze. Za piętnaście minut zaczynamy. – I wróciła do studia z nieschodzącym wyrazem znużenia na twarzy.

„Młody”, wyzbywając się nagle swojej flegmy, szybko zabrał się do pisania. Zasłaniając się przy tym przede mną jak na kla-

sówce – chyba żebym od niego nie ściągała. Więc i ja, chcąc nie chcąc, zaczęłam czytać.

Myślałam, że znajdę tu tradycyjne pytania, one tymczasem w większości były... dziwne. Cały ten „casting” był dziwny. Uśmiechnęłam się rozbawiona.

Imię i nazwisko: *Franciszka Róża Melzer*

„Banalne”.

Data urodzenia: *13 grudnia 1981*

„A może nie powinnam tego pisać, bo uznają, że jestem za stara i nie na czasie? Jak jakiś relikwiarz komunizmu”.

Rozmiar ubrań: *36, ale było i 44, i 42, 40, 38. W zależności od menu serwowanego przez matkę.*

„Nikt nie jest doskonały, a w każdym razie moja figura nie zawsze taka była”.

Najbardziej szalona rzecz, jaką w życiu zrobiłaś/eś: *Uciekłam sprzed ołtarza. A uciekając – sprzed drzwi kościoła. Choć był to raczej akt desperacji, nie szaleństwa.*

„Kubusiu, przepraszam”.

Stosunek do zwierząt: *Zdecydowanie wolę żywe od martwych. Jadam czasem ryby, sprzeciwiam się jednak przedświątecznemu barbarzyństwu i duszeniu karpia w reklamówkach. Oczywiście kocham koty, psy, konie, papuzki, świnki morskie – ale mama nigdy nie pozwoliła mi trzymać zwierząt w domu (szczególnie koni). Myszy się boję, a pająków nigdy nie zabijam, bo to podobno przynosi pecha.*

Chichotałam coraz głośniej, wypełniając ankietę. A moi konkurenci zaczęli coraz uważniej mi się przyglądać.

Największy życiowy sukces: *Odrzucenie tradycyjnej kuchni, czym naraziłam się na ostracyzm ze strony własnej matki. Ale sukces osiągnęłam niewątpliwie, bo zrzuciłam ponad 15 kilogramów.*

Ulubiona książka: *Przez lata nabijałam sobie głowę powieściami o urokach życia na prowincji, i to był błąd. Teraz więc zamierzam czytać wyłącznie kryminały spływające krwią. Gdzie trup ściele się gęsto.*

Ulubiony kolor: *Byle nie biały, bo ostatnio źle mi się kojarzy.*

Jeden produkt spożywczy, który zabralabyś/zabrałbyś na bezludną wyspę: *Pomidory (nie zielone), bo pewnie banany i kokosy już tam będą.*

Sytuacja osobista/rodzinna: *Trudna sprawa. Miałam mieć męża, ale mu uciekłam. Mam matkę, ale odkąd uciekłam niedoszłemu mężowi, ona też już nie ma ochoty się ze mną widywać. Siostrę mam postrzeloną, ojca znudzonego, babcię – wierzącą. Ale przyjaciółkę, u której zresztą mieszkam kątem, mam najukochańszą na świecie.*

Wpisałam jeszcze kilka odpowiedzi w podobnym tonie i odetchnęłam z ulgą. Teraz to mnie na pewno nie wezmą do tej roboty. Nikt nie przyjmie do pracy w telewizji osoby niezrównoważonej umysłowo. Przykro mi, Wera.



Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Dział Handlowy
tel. 22 331 91 55, tel./faks 22 643 64 42
Sprzedaż wysyłkowa: tel. 22 641 56 32
e-mail: sklep.wysylkowy@wnk.com.pl

www.wnk.com.pl

*Książkę wydrukowano na papierze
Creamy Hi Bulk 60 g/m² wol. 2,4.*

zing

Redaktor prowadzący *Joanna Wąjs*
Opicka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*
Korekta *Małgorzata Ruszkowska, Krystyna Lesińska, Ewa Mościcka*
Opracowanie DTP, redakcja techniczna *Joanna Piotrowska*

ISBN 978-83-10-12264-3

PRINTED IN POLAND

Wydawnictwo „Nasza Księgarnia”, Warszawa 2012 r.
Wydanie pierwsze
Druk: Opolgraf SA